



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.



ołudnie już było, słońce przygrzewało mocno, więc wracając szedłem nad samym brzegiem morza, którego chłodzące powiewy, orzeźwiały mię przyjemnie. Przypatrywałem się śladom przypływu fal

na piasku, ślimakom, muszłom, a że to były dla mnie rzeczy nowe, nigdy przedtem nie widziane, więc zajmowały mnie bardzo, i napełniłem muszlami kieszenie. Ale na morzu pojawił się statek bardzo osobliwy, który całą moją uwagę pochłonął, a że płynął wzdłuż wybrzeża, więc mogłem mu się dobrze przypatrzeć. Wyrobiony z szylkretu, miał kształt napół rydwanu starożytnego, napół łodzi i posuwał się powoli po powierzchni wód, ciągniony przez dwa olbrzymie żółwie. Uprząż

na nich była ze złota i jedwabiu, ozdobiona klejnotami świata zwierzęcego, perłami i koralami — a w łodzi téj czy rydwanie, bo nie wiedziałem jak ją mam nazywać, siedział młodzieńki ciemnowłosy chłopiec, strojny w błękitny aksamit i czapkę ze strusim piórem. Kierował on zaprzęgiem trzymając w ręku cugle. Na przodzie statku powiewała flaga z białej jedwabnej materii, z wyhaftowanymi na niej szafirowymi goryczkami. Dziwny ten pojazd poprzedzany był przez dziwniejszego jeszcze laufra. Na żółwiu podobnym do tych jakie były w zaprzęgu, stał wspaniały ptak w różowym upierzeniu, a nogi jego cienkie, wysokie i bardzo długa szyja, czyniłyby go podobnym do bociana, gdyby nie dziób bardzo zakrzywiony.

Cały ten widok nasunął mi przypuszczenie, które od czasu mego przybycia na Atlantę, nieraz już przychodziło mi do głowy, że to lub owo nie jest rzeczywistością, ale bajką z „Tysiąca nocy.” Chcąc się przekonać czy bajka jest prawdziwą, postąpiłem tak blisko nad brzeg morza, że obuwie moje maczało się prawie w wodzie i zawolałem:

— Zmłuj się chłopcze i powiedz mi kto jesteś, złudzeniem méj wyobraźni czy księciem zaczarowanym? Czyż być może aby takie pojazdy jak ten, istniały naprawdę?

Chłopiec rozśmiał się i zwracając ku mnie rozweseloną twarzą, odpowiedział:

— Nie jestem księciem zaczarowanym, ale paziem królewicza Pióropuszka, który mnie posyła z darem do swéj siostrzenicy, księżniczki Gori. Królewicz wyczytał niedawno w gazetach, że jakiś Anglik kazał taki pojazd sporządzić i zaprządź do niego żółwie, ale wyjechawszy na morze, nie mógł sobie dać rady z rumakami, które w jedną stronę ciągnęły chętnie, ale w drugą nie chciały. Kazał więc królewicz podobny pojazd z szylkretu zbudować dla swoich synów i tresować do niego żółwie, które są już tak przyuczone, że chyba nie



... poprzedzany był przez dziwniejszego jeszcze laufra.

sprawia koniuszemu kłopotu podobnego temu, jaki miał ów Anglik ze swojemi. Ale uradowany posiadaniem latającej za- by, przysłanej przez Zielonkę, królewicz nasz polecił zbudować inny pojazd dla książąt, a ten posyła w zamian bratu dla córeczki, wraz ze mną jako koniuszym wprawionym już do powożenia żółwiami. Prześliczne cacko, nieprawdaż!

A gdy pochłaniałem statek zachwyconemi oczyma, chłopiec rzekł jeszcze.

— Widzę że nosisz barwy królewicza Zielonki, drogi nasze zatem idą w jedną stronę. Siadaj ze mną i użyj prze- jażdżki, jakiej pewnie nikt jeszcze na świecie nie próbował!

— Prócz Anglika — wtrąciłem.

— Tak jest prócz Anglika. Widzę że jesteś szczupły i delikatny, nie obawiam się przeto, aby statek z twój przyczyny zatonał.

Nie dałem się prosić i siadłem do szylkretowego pojazdu, przypomniawszy sobie com czytał w Wieczorach o Alfonsie XIII że jeździ do senatu w karocie z szylkretu i złota. Jechałem jak król i to bez niańki, bez której się Alfons jeszcze nie obywa; byłem szczęśliwy, prawie upojony niezwykłością jazdy i zaczęłem pazika rozpytywać o rumaki użyte do zaprzęgu. Dziwiła mnie zwłaszcza wielkość tych żółwi, gdy ja widywałem dotąd tylko małe. Albatros — takie było imię pazia — objaśnił mnie że morskie żółwie zawsze bywają takie, a te które idą w zaprzęgu, ważą każdy około ośmiuset funtów, czyli są o mało co lżejsze od wołu. Widząc pazik z jakim słuchałem go zajęciem, opowiadał mi że są cztery gatunki żółwia: *lądowy, błotny, rzeczny i morski*. Żółw rzeczny, tem się różni od lądowego, że ma długie palce spięte błoną; wszystkie — prócz morskiego, który się tem szczególniej wyróżnia, że ma nogi do wiosel podobne — mogą głowę i nogi do środka swego domku chować, i wówczas bez-

pieczne są zupełnie od napaści nieprzyjaciela. Żółw błotny, najpospolitszy w Europie, przebywa w części na lądzie, w części na wodzie; żółwie rzeczne, prawie wyłącznie w wodzie w krajach cieplejszych.

— Jakże schwymano te żółwie?

— Polowanie na nie łatwiejsze jest niż jakiegokolwiek bądź łowy na świecie — odpowiedział. — Dość jest łodzią dopędzić pływającego żółwia i przewrócić go na grzbiet, dla uczynienia go bezwładnym. Żółwie morskie pływają ogromnemi gromadami, a najwięcej ich widzieć można na oceanie Spokojnym, około Peru i wysp Gálapagos. Podczas pięknych nocy, wydają właściwy sobie gwizd, który zdradza ich obecność przed ludźmi.

— Czem one się żywią?

— Zwierzętami wodnymi, roślinami, ślimakami, owadami.

— A jakże się mnożą?

— Składają jajka na brzegu mórz lub rzek, a słońce dokonywa reszty. Pod jego ciepłemi promieniami wylęgają się młode. Samice niektórych gatunków znoszą do stu jaj.

— Mięso żółwia ma być bardzo smaczne?

— Wyborne! Na dworze królewicza Pióropuszka jadają często zupełną żółwiową, zaprawioną jajkami i winem: potrawka z żółwia i jego jaja, są także bardzo smaczne. Czy nigdy ich nie próbowałeś?

— Nigdy.

— Wyrabiają też z nich u nas wyborną oliwę.

Mięso z żółwi morskich najwięcej jest poszukiwane. Te które przebywają na morzach międzyzwrotnikowych, mają najpiękniejszą, najwięcej przezroczystą tarczę, więc najpożądniejszą na wyrób szylkretu. Blaszki tej tarczy dachówkowato na siebie założone, przy rozgrzaniu nad ogniem łatwo dają się zdejmować, a bywa ich do trzynastu warstw. Tu oto na bokach tego statku, masz dokładne rysunki różnych gatunków żółwia, złotą wykonane inkrustacją; przypatrz się im.

Spojrzałem uważnie i istotnie zobaczyłem rysunki o których mówił Albatros. Wyjąłem notatnik i skopijowałem je dla czytelników Wieczorów rodzinnych, a także narysowałem z natury żółwia, który płynął przed nami razem z jadącym na nim ptakiem. Albatros przypatrywał się z zajęciem mojej robocie. Wytłomaczyłem mu, że posyłam korespondencye z Atlanty do pewnego pisma dla młodzieży, a że umiem rysować, więc dopełniam je własnymi ilustracjami. Widziałem że wzbudziło to w nim szacunek dla mnie.

— Żółw ma dwa przymioty, któremi szczególniej zadziwia — mówił dalej — może sześć do ośmiu miesięcy pościć czem zawstydzają najsławniejszych głodomorów i żyje bardzo długo. Pewien Amerykanin kilka lat temu, schwytał żółwia wlokącego się z trudnością i spostrzegł na jego skorupie wyrytą datę 1777 r.; było to dowodem, że żółw ten żył już co najmniej sto siedemnaście lat.

— Ile to on przez tak długi przeciąg czasu widzieć musiał — zawołałem — ile ciekawych rzeczy mógłby nam opowiedzieć! Ale powiedz mi Albatrosie, co znaczy ten żółw pływający ciągle na przodzie i niosący na grzbiecie różowego ptaka? Czy te ptaki także są tresowane?

— O, bynajmniej — odpowiedział ze śmiechem — na morzu bardzo często widzieć można ptaki podróżujące na żółwiach lub większych rybach. Jest to *czerwolak*. Ptaki te trzy-

mają się zwykle stadami i tem są zabawne, że zawsze chodzą gęsiego, jeden za drugim; ale gdy się któremu zachce użyć wodnej przejażdżki, siada na żółwia lub...

— A ja myślałem że on tu pełni służbę laufra!

— Tak to wygląda, a oto właśnie tamten żółw popłynął z ptakiem na morze, a my staniemy przy brzegu.

Domawiając tych słów zatrzymał pojazd, bo właśnie przybyliśmy do Różanego gaju, w miejscu gdzie granitowe arkady ogrodów wiszących tworzyły las kamienny. Ażem się zdziwił że czas tak prędko upłynął i dziękowałem serdecznie Albatrosowi, za przyjemność jaką mi sprawił.

Po południu był obiad galowy dla posła indyjskiego. Zastawiono go w sali róż, ozdobionej przepysznyemi freskami i festonami z żywych kwiatów. Marszałek dworu zapytał mnie, czy nie życzę sobie pozbyć się swego incognito na dzień dzisiejszy i zasiąść u stołu w gronie posłów, ale odpowiedziałem mu że wolę je zachować i stanąłem za krzesłem królewicza. Indyjanin przybył w innym stroju niż go widzałem w sali tronowej, ale równie błyszczącym od dyamentów. Biła od niego luna, zwłaszcza gdy z nastaniem zmroku pozapalano świeczniki. Mówił wiele o roślinności Indyi Wschodnich i o cieszącej się dziś po całym świecie rozgłosną sławą roślinie *Cola*, o której piszą gazety że rośnie w Afryce i Ameryce, a która znajduje się także w Indjach. Gdy damy zarzuciły go pytaniami, opowiadał że *Cola* lubi grunta nizkie, wilgotne i wyrasta od dziesięciu do dwudziestu metrów wysoko, że jest podobna do kasztana, lecz większa od niego, a gałęzie jej malowniczo zwieszają się ku ziemi. Kwiat pachnie wanilią, jest żółto-zielony lub biały z czerwonym brzeżkiem i cały włosem pokryty. Dojrzałe owoce przybierają barwę brunatną i otwierając się, ukazują kilka nasion czerwonych lub białych. Nazywają je powszechnie orzechami, choć nie wspólnego z orzechem nie mają. Roślina ta daje dwa zbiory, ztąd ciągle prawie pokryta jest kwiatami i owocami.

— Powiadają o *Coli* że ma cudowne własności uzdrawiające — odezwała się królowiczowa — chciej mnie objaśnić ekscelencyo, ile w tem jest prawdy!

— Daje napój smaczny, i podniecający — odrzekł Indyjanin — łagodzi uczucie głodu, ułatwia znoszenie trudów podróży, podtrzymuje przy pracy i może zastąpić wszelki inny pokarm. Najpospolitsze potrawy nabierają wybornego smaku po użyciu *Coli*. Zapobiega chorobom żołądka i sprowadza odporność na wpływy atmosferyczne; wmacnia też czynności serca. Powiadają wreszcie o *Coli*, że działa przeciwko nałogowi pijaństwa.

— Słynny głodomor *Succhi*, który przy pomocy jakiegoś elixiru długo obywał się bez jedzenia, prawdopodobnie ekstraktem *Coli* podtrzymywał siły — wtrącił *Zielonko*.
— Bardzo być może — odrzekł Indyjanin. — Ludy Afryki a także i ludy Indyi przywiązują szczególną wagę do *Coli*, ze względu na dobrodziejstwa jakie posiadanie jej maściągnąć na człowieka. Uważa się ona za owoc pochodzenia Boskiego, przyniesiony przez samego proroka *Mahometa*. Nad brzegiem *Nigru* gdy *Coli* braknie, dają za jeden orzech niewolnika, lub zamieniają go na złoto. *Cola* biała używa się jako znak pokoju; czerwona jako znak wojny. *Murzyn* przysięgający kładzie rękę na *Coli*, poczem orzech spożywa. *Cola*

gra ważną rolę przy zawieraniu małżeństw, i zajmuje pierwsze miejsce w podarunkach ślubnych; *Cola* wreszcie kładzie się na zwłokach.

Królowiczowa opowiadania tego z wielkiem słuchała zajęciem i oświadczyła, że pragnęłaby widzieć owoce *Coli*, bo królewicz wprawdzie posiada jedno drzewko, ale to jeszcze nie kwitnie. Na to poseł grzecznie oświadczył, że jak tylko powróci do Indyi, natychmiast przysła cały worek orzechów.

Stół był przesłicznie przystrojony w kwiaty. Na obiad składało się w znacznej części królestwo *Pióropuszka*, a ryż podawano przyrządzony na rozmaite sposoby. Ale koroną obiadu były owoce, osobliwością zaś ciastka podane na ostatnie danie, ciastka z kwiatów! Był to rodzaj uprzejmości dla honorowanego posła, potrawa czysto indyjska. W Indjach Północno-Zachodnich używają podobno kwiatów rośliny *Calligonum* jako środka żywności. Ubożsi gotują z niego jarzynę zaprawną solą, mąką i korzeniami, bogatsi pieką ciastka. Kwiat ów po zerwaniu, trzymany jest przez jedną noc w zamkniętem glinianem naczyniu, gdzie wędnie. Przechowywać go można bardzo długo. *Viola* stojący za krzesłem królowiczowej, szepnął mi do ucha, że gdy przyjmowano posła chińskiego, podano na jego cześć cebule lilii białych, sporządzone podług chińskiej recepty, bo używanie takich przypraw do potraw, jest u *Chińczyków* rzeczą zwykłą.

Pod koniec obiadu, gdy wniesiono dzbany z miodem i różnemi słodkimi winami, rozsuał się po nad stołem sufit i wszyscy biesiadnicy, obyczajem rzymskim, obsypani zostali deszczem kwiatów. Przy mnie, dziwnym trafem upadła wiązka stokrotek... Potem śpiewacy nadworni śpiewali naprzemian indyjskie i atlantyjskie pieśni, gdy wtem straż na wieży otrąbiła powitalną fanfarę i dano znak *Zielonce* że królewicz *Pióropuszek* przyjechał. Porwał się zaraz od stołu *Zielonko* i biegł na powitanie gościa, ale tenże wchodził już do sali z orszakiem. I on i orszak jego, jaśnieli przepychem jedwabiów, aksamitów i piór, które chwiały się na ich głowach, a twarz królewicza promieniała jak słońce.

— Bracie — przemówił wyciągając do gospodarza obie ręce — pozwól sobie podziękować za cenny dar, który mi przysłałeś. Jest on dowodem twojej braterskiej pamięci i rozradował mi serce!

Gorące to powitanie *Zielonko* przyjął z pewnem dziwieniem.

— Podobały się więc klejnoty *Perełce* — przemówił — bardzo mnie to cieszy.

— Przez moje usta przysła ci podziękowanie; ale nie klejnoty mam na myśli, mówię o tem co się jeszcze prócz nich znajdowało w szkatułce.

— Cóż takiego było tam jeszcze? — zapytał.

— Nie udawajże nieświadomego, bo to dziś przecie nie *Prima Aprilis*? Znajdowała się tam ta którą dawno posiadać pragnąłem, żaba latająca!

— Żaba latająca — powtórzył *Zielonko* — więc *Mewa* powróciła z Afryki? Jakimże cudem zdołała tak prędko odbyć podróż?

Teraz z kolei *Pióropuszek* patrzył ze zdziwieniem na brata.

— *Mewa* dotąd przy brzegach Afryki... Więc nie ty przysłałeś mi żabę?

— Nie widziałem jej nawet na oczy!

— Gdzież jest paż który przyniósł szkatułkę?



Owoc *Coli* i pojedynczy orzech.

— Tutaj — odrzekł Zielonko wskazując na mnie, a Pióropuszek przypatrzawszy mi się rzekł:

— Tak, to on, poznaję go.

— Czy otwierałeś szkatułkę? — zapytał Zielonko.

— Otwierałem, Wasza Królewiczowska Mości.

— W jakim celu?

— Żeby schować w nią żabę którą znalazłem. Jeżeli wykroczyłem przeciwko przepisom etykiety, proszę o przebaczenie.

— Zkąd wiedziałeś że to jest żaba latająca?

— Widziałem ją w kajucie Tygrysa, gdy Mewa spotkała się z Narcyzem.

Ogólne zdumienie zapanowało w sali: wszyscy mieli oczy na mnie zwrócone.

— Jakimże sposobem ona dostać się tutaj mogła, zginawszy z kajuty Tygrysa? — zapytał Pióropuszek.

Wyraziłem mu moje domysły i przyznał że są trafne!

— Dlaczego nie mi o tem w Korolowym dworze nie powiedziałaś?

— Nikt mnie o to nie pytał.

— Ale czemu nie mówiłeś nic w Różanym gaju? — zapytał z kolei Zielonko?

— Bo było tylko przypadek szczęśliwy, a nie czyn jakiś, któryby warto było rozgłaszać.

— Chłopcze — przemówił Pióropuszek — zasługujesz na odznaczenie, nie tylko za przysługę jaką mi oddałeś, ale i za twą skromność. Gdyby przepisy nie wzbraniały paziom nosić orderów, dałbym ci order czarnego sokoła.

— Ale przepisy nie wzbraniają posłom nosić orderów — odezwał się Zielonko. — Janek tylko incognito jest paziem, a przebywa na moim dworze w charakterze nadzwyczajnego posła Wieczorów rodzinnych. Wolno mu nosić order.

— A więc niech go zdobi — rzekł Pióropuszek — odpinając swój własny znak czarnego sokoła z perłami, na czerwonej wstążce. — Zbliź się młodzieńcze!

— Wasza Królewiczowska Mość niechaj raczy mi wybaczyć — odrzekłem — ale nie mogę przyjąć tego orderu, należy się on bowiem kapitanowi Tygrynowi, który nie mało trudów poniósł dla odszukania żaby. Zdaje mi się, że w tym kraju, jak wszędzie, ordery dają się za zasługę, nie za przypadek. Zadowolenie Waszjej Królewiczowskiej Mości jest dla mnie najlepszą nagrodą za to, że żabie która niemal sama weszła mi w ręce, uciec nie dałem.

— A więc podaj mi rękę — rzekł Pióropuszek serdecznie — niech ją uścisknę. Jeśli kiedy zapragniesz być gościem Korolowego grodu, wiedz że bramy mego królestwa są dla ciebie otwarte!

Podziękowałem królewiczowi jak umiałem najuprzejmiej,

za jego dla mnie łaskawość i wróciłem na swoje miejsce, mówiąc do Violi.

— Tobie byłbym powiedział o tój żabie, ale nie było kiedy.

Teraz Zielonko przedstawił bratu posła indyjskiego i jego orszak, a posadziwszy go na głównem miejscu przy stole, rzekł z uśmiechem.

— Kochany bracie, wiem że w twoich zbiornikach wodnych odbywają się co dzień wspaniałe koncerty, ale repertoar zawsze jednakowy musiał cię już cokolwiek znudzić. Chcąc ci zrobić przyjemność, pomyślałem o zasileniu go nowymi siłami artystycznymi. Będziesz mógł urządzać sola i chóry, co zechcesz.

Pióropuszek oczy szeroko otworzył.

— Dowiedziałem się że w zatokach Ameryki Południowej, przy ujściu rzek do Oceanu spokojnego, zbierają się gromadnie ryby z rodzaju Clupiidów czyli śledzi. Wydają one w wodzie głos, który podróżnicy przyrównują to do odgłosu harfy eolskiej, to do organów. Miejscowi nazywają je muzykantami lub syrenami. Nigdy jednak odgłosu tego nie słycać w dzień, tylko wieczorem lub nocą i to całemi godzinami. Ryby te żyć mogą w morskiej, jak i w rzecznej wodzie i nieraz wpływają w rzeki. Są białawe z kilkoma niebieskimi plamkami na grzbiecie. Uczony francuzki Girard nazwał je *Alosa musica*. Wysłałem okręt w tante strony na poszukiwanie tych artystów.

— O, bracie, czemu ci się odwieźć! — zawołał uszczęśliwiony Pióropuszek.

— Wasza Królewiczowska Mość zapewne zechce seryę tych koncertów urządzić w Wielkim

Poście — odezwała się jedna z dam honorowych. — Śledzie śpiewające, i śpiewające głosem podobnym do dźwięku organów, to się właśnie doskonale składa!

Królewicz Pióropuszek uśmiechnął się a Zielonko mówił dalej.

— Ale za to chcę cię prosić abyś mi wyświadczył pewną łaskę.

— Wszystko co zechcesz, mów!

— Złośliwe owady niszczą moje drzewa pomarańczowe. Wysysają z nich soki pożywne, objadają liście, kwiaty, a nawet pędy owocowe. Te owady są twoją prawowitą własnością: zabierz je sobie!

— Wierz mi bracie, że im bynajmniej nie zalecałem by ci szkodę czyniły. Ale bądź spokojny, przysługę ja tu jutro moją policję, która ukarze tych szkodników.

Spojrzałem ze zdziwieniem na Pióropuszkę. Gdyby był powiedział że przysługę ludzi do obierania drzew, lub pływającego do skrapiania, nie dziwiłbym się — ale policję!



Żółw szylkretowy.



Żółw błotny i rzeczny.



Wybrzeże Jordanu.

mrówek. Mrówki rozpoczęły natychmiast walkę z drapieżnymi owadami. Odwróciłem oczy od tego widoku.

Dworzanin objaśnił mnie, że Chińczycy używali tej policyi już od roku 1690, a inne prowincye Azji jeszcze dawniej; że używano mrówek na wyspie Ceylon przeciw szkodnikom niszczącym plantacye kawy, i oczyścili drzewa w zupełności, ale okazały się nabyt gorliwymi, gdyż załatwiwszy się z owadami, rzuciły się na pracujących w plantacyach niewolników; dokuczały im tak okropnie, iż nie było innego środka, jak wytepić zbyt krewkich policyantów.

Co się to dzieje na świecie, mój Boże! co się to dzieje!

Janek sierota.

Co pomoże mundur policyanta i jego szpada, przeciw takim szkodnikom?

Sprawa ta tak mnie zaciekaiała, że gdym się nazajutrz rano obudził, pierwszą moją myślą było czy też królewicz Pióropuszek przysłał swoją policyę. Pobiegłem do pomarańczarni i zobaczyłem tam już dworzanina w barwie Pióropuszką, ale tylko jednego. Napróżno oglądałem się za innymi, nie nadchodzili. Dworzanin rozwiązał pęk trzciny, które mu przyniesiono i przeprowadził od gałęzi do gałęzi rodzaj małych mostów z trzciny, a następnie połączył temiż mostami drzewa pomiędzy sobą. Następnie wyjął z kieszeni małe pudełeczko, które gdy otworzył, wnet rozeszła się po wszystkich mostach i po gałęziach niezliczona moc żółtych i czerwonych

OBRAZKI Z ZIEMI ŚWIĘTEJ.

II.

Wybrzeże Jordanu.

Wybrzeże Jordanu przedstawione na rycinie naszój, ciągnie się od jeziora Genezareth do morza Martwego, gdzie wpada rzeka Jordan. Powstawszy z trzech źródeł na szczytach Antilibanu, ubiega ona wpierw blisko mil trzydziestu, przepływając jezioro Genezareth.

Cała ta okolica ma charakter odludny, dziki, oderwany od otaczającego świata. Palestyna albowiem, ziemia obieca-

na, kraina płynąca mlekiem i miodem, słynie ze swęj urodzajności jak zawsze słynęła, będąc całą niby jednym rozkosznym ogrodem, pełnym obfitości wszelkiego rodzaju. Dolina Jordana jest przeciwstawieniem tęj powabnej krainy. To też jeszcze za czasów izraelskich, odludna ta okolica była miejscem dobrowolnej pokuty, rozmyślań i modlitwy. dla ludzi zniechęconych do rozkoszy świata, starających się wznieść duchem ku mądrości i sprawom wiekiustego życia, przez wyrzeczenie się ziemskich marności. Jednem słowem, służyła za rozległą pustelnię, siedzibę proroków, z której głębi od czasu do czasu rozlegały się ku światu zamieszkałemu przestrogi, napomnienia, „głosy wołające na puszczy”. W głąb tęj to pustyni szedł Jezus do Jana, aby był przezeń ochrzczony w wodach Jordana.

LIST Z WARSZAWY.

Wróciłam nareszcie, moje drogie, wróciłam, zadowolona z podróży która oczom moim dostarczyła nowych widoków, a myślom szersze odsłoniła horyzonty, ale tak stęskiona za wszystkim z czem się tu zżyłam od dziecka, że od Skierniewic usiedzieć już nie mogę spokojnie i ciągle stojąc w oknie wagonu, wyglądam: rychło-li zobaczę Warszawę. Widzę ją wreszcie, a raczej w mglisty, pośpny wieczór coś niby jasną chmurę mającą już niedaleko, więc zbierać zaczynam pakuiki, torebki, koszyki, kosze, i właśnie już je wszystkie zebrałam gdy pociąg zwalnia biegu, staje... Warszawa! Powitanie z braćmi, których od kilku miesięcy nie widziałam, powrót do domu, którego wszystkie kąty obiegam projektując w myśli, gdzie który z przywiezionych gracików zawieszę lub postawię, wieczera, gawęda rozpakowywanie się...

Na drugi dzień wybiegłam do naszej Redakcyi, gdzie po radosnych powitaniach, chwytam za czekającą na mnie paczkę listów waszych i zagłębiając się w ich odczytywaniu. Wiem, że mię zastępowano w Redakcyi w załatwianiu tych drobnych interesów, które mi nieraz ku wielkiej mojej przyjemności powierzacie, wiem także iż każdej z was zawsze słówkiem miłem odpowiedziano, więc pozostaje mi tylko podziękować każdej, która mnie obdarzyła liścikiem. Zaczynam od podziękowania tobie, *Cicha Wodo*, której śliczny opis wzniecił we mnie zazdrość, że nie patrzyłam razem z tobą na wszystko, co z takim przejęciem opisujesz. Dziękuję ci też serdecznie za przyslaną mi pamięteczkę: zachowam ją między najdroższymi... *Ballady na, Kulka śniegowa, Wróźbiarka szczęścia, Horpyna*, (jaką ty masz pocziwą siostrzyczkę tę *Zawieruchę*, co młodszego braciuszka kołysz!) *Gospoia z Podola, Wiewióreczka inflancka, Gama C-dur, Stokrotka z nad Pilicy, Gospoia z pod Lublina, Biału Ostróżka, i Niezapominajka z nad Warty*, oto poczet korespondentek, którym się odemnie podziękowanie należy. Dwom zaś ostatnim specjalnie; i Białej Ostróżce za opis podróży do Krymu, tobie zaś, droga Niezapominajko z nad Warty za fotografię, której widokiem ucieszyłam się serdecznie. Sympatya, przyjaźń wasza czynią mi niewypowiedzianie szczęśliwą a w szczerść ich tak wierzę, że się do nich odwołać zamierzam z prośbą bardzo usilną, bardzo nagłą, której spełnienia nadzieję opieram na znanęj mi pocziwości serc waszych. Już się może domyślać o co chodzi: o biedę ludzką, której zaradzić by trzeba, o tę z bied najsmutniejszą, dziecięcą, której wam właśnie tak zaradzić łatwo, bo każde znoszone już ubranie, przyda się ubogim, nie mającym się w co odziać dzieciom, tak samo jak każdą nie używaną już przez was zabawkę przyjmą z radością Siostry miłosierdzia, czuwające w Szpitalu dla dzieci. Gdybyście widzieć mogły, jak rozzewniającym jest widok tych małych, wynędzniałych pacjentów, których osłabione jeszcze paluszki z uśmiechem ujmują zabawkę! To pierwsza oznaka przychodzenia do zdrowia, a dostarczenie zabawki, to nietylko umilenie choręj dziecinie chwil wolno wlokących się w łóżeczku, ale jeszcze ujęcie trudu zacnym Siostróm, które nieraz nie wiedzą czém zająć i rozerwać powierzone ich straży biedactwa. A ileż to takich dzieci już

zdrowych, już ze szpitalika wyjść mogących, wyjść zeń jednak nie może, bo podarte ubranie w jakim je przyniesiono chore, spalić było potrzeba, a teraz niema czém okryć zdrowych.

Więc tym wszystkim ubrania lub rozrywki pozbawionym rówieśnikom waszym przyjdźcie w pomoc, wy, które praca i opieka rodziców strzeże od niedostatku. Przyjdźcie w pomoc, a prędko bo zima zagłada już w oczy i chorobą grozi tym, których nieprzygotowanych na swe przyjęcie zastanie. Przyjdźcie w pomoc! prosi was i błaga o to ta, której dajecie tyle dowodów serca, że się na nie liczy naucezyła, i liczy z wiarą, że ją zawód nie spotka.

A tymczasem aby sobie łaski wasze zaskarbić, zdać wam muszę sprawę z ciekawęj nowości, jaką tu zastałam.

W salonach Muzeum Przemysłu i Rolnictwa otworzoną została od niedawna wystawa, ochrzczona mianem *etnograficznej*, złożona z przedmiotów, które zebrał podczas pobytu swego w Afryce p. Leopold Janikowski. Po ukończeniu obecnej wystawy ma on zamiar wcielić swoje zbiory do jednego z muzeów krajowych, warto więc zobaczyć je teraz każdemu, kto mieszkając w Warszawie, ma ku temu sposobność, bo zawierają dużo ciekawych okazów tak przyrodniczych, jak i właściwych etnograficznych. P. Janikowski wziął głównie za przedmiot swych badań plemiona zamieszkałe w górach Kryształowych, pomiędzy niemi zaś ludożercze plemię *Mpangue* czyli *Tanów* i zebrał też sporo przedmiotów, odnoszących się do ich religii, obrzędów, życia domowego i t. d.

Nie powiem, żeby świadczyły one o zbyt wysokim rozwoju cywilizacyi, ale zawsze ciekawa to rzecz widzieć jak oddaje część swoim bożyszczom, jak się ubiera, jakich sprzętów używa naród tak od nas odmienny, pod względem umysłowym i fizycznym. Właściwie mówiąc: plemię Mpangue za przedmiot największej czci religijnej uważa czaszki swoich przodków, które wraz z bożkami z czarnego jakiegoś drzewa, przechowuje w pudłach z kory drzewnej. Czaszki, pudła, bożki, wszystko to znajduje się na wystawie, a obok tego ubranie z suchej trawy oraz maska, używana przy religijnych tańcach i obrzędach przez kapłana, *fetyszera*, który zarazem lekarzem jest i czarodziejem i dla nadania sobie uroku potrzebnego przy występach publicznych, potrzeba wielką łaską z grzechotką i zapewne bije w dzwony, których okazy znajdują się także wśród przedmiotów kultu religijnego. Strachem prawdziwym przejmuję ogromny tasak, służący do ścinania głów ofiar, poświęconych bożkom i nóż ofiarny, na którym przez imaginację gotowa byłam widzieć ślady krwi... Ale ponure te wrażenia rozproszył widok talizmanów i amuletów, bez których tamtejszy krajowiec się nie ruszy. Wyrabiane są one przez fetyszerów i chronić mają od złych duchów, przybierających w sennem marzeniu postać lamparta, od chorób, od czarów, od kuli, i t. d.

Zbiór broni obfituje w dużo pięknych zapewne w swoim rodzaju okazów, ale ja się na broni nie znam i z uszanowaniem spoglądam tylko na zatrute ostrza dzid, których najmniejsze draśnięcie zabija, oraz na kołczany z zatrutemi strzałami i na zatrute także ostrza z drzewa bambusowego, używane do zasadzek. W czasie wojny ludność Mpangue zakopuje je w ziemię na ulicach miasta w ten sposób, że wystające zatrute końce śmiertelnie kaleczą nogi nieprzyjaciół. Są tam i toporki wojenne, przeznaczone do rozłupywania czaszek ofiar ludożerstwa krajowców i pochwy do nożów ze skóry jaszczura zwanego *Iguanem*, ze skóry goryla lub węża, oraz pochwy drewniane z wypaleniami na nich ozdobami, świadczącymi o jakimś zamilowaniu piękna u tych ciemnych i dzikich ludów. Zamilowanie to objawia się jeszcze wyraźniej w strojach, ozdobach i innych wyrobach miejscowych. Bransolety z kości słoniowęj, używane do stroju przez bogatych krajowców Kamerunu, są więcej wartościowe niż piękne, chętnie bowiem przyjmowane bywają przez murzynów w charakterze monety. Robione są z kłów słoniowych zazwyczaj przy osadzie pustych w środku, kieł taki tną na krążki i szlifują takowe kamieniami i piaskiem. Bransolety z żelaza i mosiądzu, naszyjniki mosiężne, bransolety na nogi, wszystko to stanowi ulubione przedmioty stroju, tak nieraz ciężkie że gdy kobieta,

obwieszona podobnemi ozdobami (zakutemi na niej raz na zawsze) wpadnie naprzykład podczas połowu ryb w wodę, wszelki ratunek staje się niemożliwym. Waga jednego naszyjnika dochodzi czasem do 10-ciu funtów!

(d. n.)

PAGÓREK.

Wśród płaskiej okolicy pagórek piaskowy
Wzniósł się na parę łokci nad rodzinną ziemię,
Ach! jakież on strudzony! Trzech drzew nosi brzemię!
U stóp jego się wije strumień dwumilowy.
Jakież poszanowanie winne mu są łąki!
Toż chrząszcze trzmiele i bąki
W dziewięć sekund zaledwie zmierzą jego czoło,
A na niem jastrząb mieszka, co strach szerzy wkoło.

Wicher, co się kołysał na Alp silnem łonie
Usłyszał to. Z uśmiechem na pagórek wionie:
Tam gdzie się tak pyszniła mil dziesięciu chwała,
Kupa piasku pozostała.

Marya Leona.

W INDIACH.

(Dalszy ciąg).

— Ależ przez litość od czego zacząć teraz?... Mahoro, tyś rozsądniejszy od tych, którzy z urzędu swego rozsądnymi być powinni, czy nie doradzisz nam od czego zacząć należy? — zapytał gwałtownie kapitan, wyciągając dłoń do Indyanina, jakby w milczeniu przeproszał za niedawne lekceważenie jego zdania. Mahora rozczulony pocałował tę rękę, zrozumiawszy podobno trafnie znaczenie gestu, a potem rzekł ze smutnym uśmiechem:

— Od czego zacząć w tej chwili, to widoczne jest samo przez się panie kapitanie, najsilniejsi z nas upadają ze znużenia, a przecież mamy i słabych jeszcze: potrzeba spocząć jeśli działać chcemy jutro...

Wszyscy spojrzeli wzajemnie po sobie i dopiero nagle uczyli gwałtowny upadek sił, sztucznie zapalem dotąd podtrzymywanych. Wiliam leżał na ziemi wyczerpany zupełnie, załany łzami próżno powstrzymywanymi; Edward siedział na głazie bezsilny z oczyma błędnie wlepionymi w przestrzeń. Thorn i Mac-Ulm porozumieli się spojrzeniem i zadrżeli: strata jednego dziecka nie powinna być przecież być utraty innych przyczyną. Szybko zaprzestając demoralizującej wszystkich rozpacz, bez straty czasu, nie dając już do własnego domostwa, urządzono możliwie wygodny nocleg wśród gruzów bezładnej Tungary, a nadmiar znużenia, po lichym lecz koniecznym także posiłku, uspił prawie natychmiast garstkę udreżonych fizycznie i moralnie ludzi. Tylko miarowe stapania straży i odległe głosy nocnych drapieźników słyszeć się dawały w spustoszonej okolicy, wśród cichej nocy oblanej srebrzystym blaskiem księżyca.

XI.

Jednocześnie, w gęstwinie potężnego lasu niezbyt odległego od lasku Piuktu, sąsiadującego z parkiem otaczającym posiadłości Mac-Ulmów, spora ilość Indyan zgromadziła się w pośrodku dużej polany, przy blasku tego samego księżyca, który oświecał strudzonych i spoczywających w Tungara wędrowców. Bezładne stosy wykwintnych sprzętów, odzieży, pościeli, wszystko popsute, połamane, podarte, leżało z boku pod drzewami, a były to zrabowane na okolicznych Europejczykach łupy, nieznanego po większej części dla rabujących

użytku. Obok stały i leżały konie i powozy, różny dobytek domowy, jednym słowem wszystko, co z domów zrabowanych porwać się dało. Na środku polany spoczywali w najrozmaitszych pozycjach ranni Indyanie, których coraz to więcej nadechodziło, w miarę jak zapadające cienie nocne pozwalały im opuszczać chwilowe kryjówki, dokąd zapędziły ich ciosy kapitana Lory i jego towarzyszy. Obok tych jęczących niedobitków stali i siedzieli nieliczni, którzy twardszy szczęśliwie z walki, zdołali schronić się przed Europejczykami do Tungara, a zabrawszy ztamtąd wszystkie swoje i swoich ziomków rodziny i dostatki, unieśli je i tu uprowadzili w niedostępną, w głębi skał i lasów kryjówkę.

W jednym z połamanych powozów, swoim własnym niedyś podobno, leżała Klara, skrępowana, uspiona niespokojnym, gorączkowym snem znużenia. Stary Indyanin siedział naprzeciw niej i nie spuszczał z niej oczu, pilnował. Błada i wychudzona dziewczyna, obłana srebrnym księżycowym światłem, podobniejsza była raczej do marmurowego posągu, niż do żyjącej istoty. Pomiedzy zebranymi, z których wielu było odzianych w obszerne indostańskie suknie, odbywała się narada, a zdania objawiane były tak zgodnie, jak to niezmiernie rzadko się zdarza, nawet wśród ucywilizowanych ludzi; wszyscy bowiem jednomyślnie złorzeczyli fakirowi Mahalowi, że sztukami swojemi nakłonił ich do chwycenia za broń przeciwko Anglikom. Wprawdzie w innych stronach półwyspu powodziło się lepiej krajowcom w takichże samych okolicznościach, ale w Tungara Anglicy od chwili napadu bronili się skutecznie, później znów z pomocą kapitana Lory napastowali uciekających tak natargiwie, że strach i groza zawładnęły Tungarczykami i dziką obcą tłuszcą, gromadzącą się około nich dla rabunku. Nadechdziły też do nich wieści że rozruchy już wszędzie zostały stłumione, że wojska angielskie odcięły Tungarę od reszty kraju ażeby nikt ująć nie mógł, że winni karani będą bez litości; słowem postrach doprowadzał dzikich do rozpacz, którą zwiększyły jeszcze celne strzały Anglików i Francuzów, dziesiątkujące napastników. Z tych to powodów, nie mogąc jak mieli zamiar uciekać w głąb kraju, w przekonaniu że wojska angielskie postępują z powracającymi Anglikami, aby ukarać rozboje nie przepuszczając nikomu, winowajcy rozpaczali, złorzeczając fakirowi Mahalowi, jako jedynę prawdziwą przyczynę win i nieszczęść całej ludności tungarskiej.

Zadowoleni byli że nie udało się im sprzedać białej dziewczyny, i postanowili dobrze się z nią obchodzić w nadziei że jej ojciec, wielki sułtan, jeżeli nie da okupu, to chociaż życie im daruje i do chat wrócić pozwoli, gdy mu ją zywą i zdrową oddadzą. Tak twierdził jeden z dalszych mieszkańców okolicy, spoglądając w stronę śpiącej Klary. Na to odrzekł inny, mieszkający bliżej posiadłości Europejczyków, i przeto cokolwiek więcej mający pojęcia o rzeczywistych stosunkach, i prawdziwym stanie rzeczy:

— Dziewczyna ta nie jest córką sułtana, nie jęj to szukali dwaj ludzie w zawojach i białych sukniach; sami nie wiecie co za bajki rozprowadacie. Dziewczyna jest córką bardzo bogatego Anglika z tej okolicy, którego dom zniszczyliście tak jak i innych z namowy tego zbójcy Mahala. To nie my zawiniliśmy lecz on; i on powinien być ukarany za nas wszystkich, lecz to prawda, że za dziewczynę, możeby nam ojciec jęj, chociaż niektórym życie wyprosił u swych braci; nawet Kumasy tak powiedział, tylko niewiedzieć jak oznajmić Anglikom, że chcemy ją oddać, pogodzić się i wrócić do chat, bo oni z pewnością strzelać będą do każdego z nas, który zbliży się do nich, zanim zdąży powiedzieć z czem idzie.

— Niektórym?... tak!... niektórym życie darować... — mrucał ten i ów niezadowolony; każdy bowiem czuł się tak dalece winnym, że nie miał nadziei należenia do tych niektórych. Wtem popłoch powstał nagle wśród tłumu, z gęstwiny na polanę wybiegł krajowiec drżący z przerażenia i śmiertelnie blady, co przy ciemnej skórze, okropnym go czyniło, padł na ziemię, zaledwie mogąc wymówić jeden, jedyny wyraz:

— Straszni!... — wyraz ten wystarczył, aby przerażenie tłumu podniecić do szaleństwa, wielu, jak martwi padali na

ziemię tracąc przytomność, inni tulili się do siebie zwiijając w kłębek i drżąc, lecz wszyscy milczeli jak nieżywi, bo życie ich zależało od ciszy. Nieszczęście nigdy nie przychodzi samo jedno, do grozy przed Anglikami przyłączyła się druga stokróć okropniejsza, bo to co powiedział przybiegający Indyanin, *Straszni*, znaczyło że są w okolicy ludzie z okropnej tajemniczej sekty „dusicieli” straszni wszelkiej żywej ludzkiej istocie. — Widziałem ich! — wołał.

Jeden tylko człowiek wśród obecnych, mimo przestachu, zachował przytomność umysłu i przystąpiwszy do zwiastuna okropnej wieści, zapytał:

— Gdzie ich widziałeś? Ilu? Po czem poznałeś?

— Leżałem na brzegu ogrodu Anglików, ukryty w gruzach i trawie i śledziłem ztamtąd co robią Anglicy w Tungara, tak jak mi wodzu Kumasy kazałeś, Anglicy spali, lecz wkrótce ten młody w błyszczącej sukni, na którego wołają „kapitan” wstał, przeszedł obok straży i z założonemi w tył rękami przy jasnym świetle księżyca w pobliżu mnie, przypatrząc się gruzom, przechadzał się zamyślony. Wtem dał się słyszeć trochę opodal cichy jęk, zupełnie jakby płaczący głosik dziecinny, zadrżałem, bo mi zaraz na myśl przyszło, kto chce kapitana odprowadzić od jego towarzyszy. Jakoż po chwili gdy kapitan pośpieszył na ratunek jęczącego dziecka, jęki ozwały się znów dalej, kapitan pobiegł jeszcze zwawiej, dobywszy pałasza, myślał pewno że zwierz jaki dziecko zbłąkane unosi, ale zaledwie oddalił się od swoich, wnet niewidzialne ręce zarzuciły mu z tyłu szal na twarz, kępując od razu usta tak, że ani pisał, i *pięciu*... wyskoczyło z trawy, spętało schwytanego i prowadzą go teraz przez las, a ja przypadłem tutaj ostrzedz was... ich tu pewno jest dużo, oni nas wszystkich wymordują, oni gorsi niż wszyscy Anglicy na świecie!

Opowiadający zarówno jak słuchacze łamał ręce, kaleczył się paznogciami i wyprawiał dzikie a właściwe Indusom sceny rozpaczy.

Kumasy nie napróżno był wodzem Tungaryanów, nietylko wodzem, lecz naczelnikiem okolicznym, coś w rodzaju wójta z ramienia lokalnego rządu. Zył on oddawna w większym od innych zbliżeniu z ludźmi ucywilizowanymi i jeżeli dał się unieść prądom wywołanym przez Mahala, to tylko dla tego, że sam jeden nie mógł nic poradzić przeciwko całej obalamuconej ludności. Rozumiał jednak dobrze własny interes i przeto ledwie dosłuchawszy opowiadania, szepnął do swoich:

— Tyso! Mas! Kiza! Raska! Tohty!... wy, którzy macie nogi jak skrzydła, a mniej niemi robicie szelestu niż mucha skrzydłami, pędźcie za „strasznymi”. Nie koniecznie zbliżka — dodał widząc przerażenie pięciu wywołanych — byleście tylko rozstawili się po drodze umieli mi wskazać gdzie oni pójdą, bo musi tu być gdzieś ich okropna kryjówka, kiedy kapitana do niej wiodą, inaczej zamordowałiby go na miejscu. Ja pędzę do Anglików w Tungara, za mądry i za dobry oni żeby strzelać mieli do każdego kto się zbliża, powiem im co się stało z ich bratem, którego zowią kapitanem, a jeżeli za naszą pomocą odzyskają go tak jak i swoje dziewczynę, to z pewnością przebaczą nam wszystkie winy.

(d. n.)

S Z A R A D A.

przez Ewę Maryę.

Tęskni sierota, lecz w smutnej doli,
Głośno nie *pierwsze, drugie i trzecie*;
Choć dusza cierpi, choć serce boli
Opieki szuka nie w ziemskim świecie.

Zmienne są losów burze i cienie,
Ona nie sarka *pierwsze i czwarte*,
Ufna że kiedyś Boże promienie
Padną przez chmury nagle rozdarte.

I że lży ciche tajnej zasługi
Ściekną gdzie czysta *druga i trzecia*
Odświeża, biegnąc przez rajskie smugi,
Niezwiędłe pąki wiecznego kwiecia.

Tam w blaskach mkną ponure noce,
Zima pogodną rozkwita wiosną:
Za opuszczenie, smutki sieroce,
Wszystko się głuszy pieśnią radosną!...

Łamigłówka geograficzna.

ulożył Ikar.

Z następujących sylab: Al—rzec—bra—ham—Nu—bra
—a—ze—do—res—im—O—nia—myśl—Er—ka—Co—rum
—ber—Al—tyn—Be—Lo—ba—na—ra— ułożyć wyrazów 9,
których znaczenie jest następujące: 1. Miasto w Indjach.
2. Miasto w Hiszpanii. 3. Miasto w gub. kijowskiej. 4. Miasto w Portugalii. 5. Miasto w Armenii. 6. Rzeka we Francji.
7. Miasto w Galicji. 8. Dopływ Bugu. 9. Prowincya Turcji.
Początkowe i końcowe litery tych wyrazów cytane z góry na dół, utworzą nazwy dwóch miast w Hiszpanii.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 45-go.

S z a r a d y:

Pa — ro — be — czek.

Zadania liczbowego:

1	15	2	16	3	17	4
14	13	12	11	10	9	8
18	5	19	6	20	7	21

PIERWSZA KSIĄŻECZKA DO CZYTANIA

H. WERNICA.

Wyszła z druku, nadająca się znakomicie do nauki prywatnej i w szkołkach początkowych, cena kop. 25.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakeji, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska (z drzew.) — Obrazki z Ziemi Świętej (z drzew.) List z Warszawy. — Pagórek, wiersz p. Maryą Leonę. — W Indjach. — Łamigłówki i rozwiązania. Dodatek: Więzień (z drzew.) — Chłopczyk i Jabłonka, wiersz, p. Maryą Leonę. — Legendy. — Moje dzieci, opowiadanie jednej mamy. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorke „Reginki”).

WIĘZIEN.

Pewnego dnia siedmioro dzieci bawiło się na podwórzu. Wyprowadzili z mieszkania dużego konia na biegunach; pozbiali, co kto miał: pałasze, fuzyjki, bębenki, chorągwie, armaty, czapki z piórami i pięknie uzbrojeni zaczęli bawić się w wojnę.

Najmłodsza Zosia, nie mając nic innego, wzięła lalkę na rękę, mówiąc, że to ranny żołnierz, a u niej jest szpital. Zabawa szła ochoczo.

A w kąciku podwórza tymczasem stał cicho i przypatrywał się jej ciekawie biedny, mały chłopczyzna,

— A więc czemu tu w kącie stoisz próżniaku i oczy na nas wytrzeszczasz, co? kto ci to pozwolił?!

— Ej, kto mi ta miał pozwalać! ja se tak stoję i patrzę, bom nigdy takich ślicznych sukienek i zabawek nie widział. Miło choć popatrzeć na nie z daleka.

— Och! właśnie! nie wierzę ci. Ty jesteś taki brzydki, z pewnością kłamiesz — dowodził Adaś. — Znam cię ptaszku! ale poczekaj, my cię ukarzymy, za to że nas podsłuchujesz. O, damy my sobie radę z tobą; jest nas tyłu!

— Oj oj, paniczu! co panicz chce odemnie, ja przecie nic nie zawinił! — prosił się biedny Jaś, gdy Adaś, przejęty godnością swego żołnierskiego powołania, wią-



okryty zaledwie nędznymi łachmanki, a mizerna zapadła twarzyczka wyraźnie świadczyła, że często z głodem miał do czynienia.

Adaś trębacz, śliczny i szczęśliwy chłopaczek ujrzał go pierwszy, opuszczając więc gromadkę bawiących się dzieci, pobiegł w jego stronę.

— Czego chcesz obdartusie! czemu się tak patrzysz na nas? — zapytał dosyć niegrzecznie, a widząc, że biedny Jaś zmieszany, słowa odpowiedzi nie może, ciągnął dalej. — Pewnie szukasz, czyby się co nie dało ukraść!

Chłopiec zadrzał i twarzyczka jego pobladła jeszcze bardziej, ale oczy żywo mu zabłyśły i spojrzał prosto w twarz Adasia:

— O nie, paniczu! ja nie złodziej! jam jeszcze nigdy w życiu nic nie ukradł i da Bóg nie ukradnę, choćbym z głodu miał umrzeć.

zał mu ręce znalezionym w kieszeni sznurkiem. Jaś się nie wrywał, bez wielkiego przestachu dał z sobą robić co się temu ładnie ubranemu paniczowi podobało.

— Teraz mi nie uciekniesz. Jesteś więźniem. Chodź, zaprowadzę cię do naszego dowódcy — rzekł wkońcu Adaś, wskazując na Gucia, który pysznie jechał na drewnianym koniu i miał bardzo fantazyjną minę w dużym kapeluszu z pióropuszem.

— Kto to jest? Adasiu — zapytały hurmem dzieci, gdy obaj chłopcy zbliżyli się do nich. — Co to za chłopiec i co chcesz z nim zrobić?

— To bardzo niebezpieczny włóczęga, szpieg może złapałem go i uwięziłem. Trzeba go ukarać, bo próżnował i patrzył na nas i z pewnością miał ochotę coś ukraść.

— Ach szkaradny! — zawołano chórem, ale zaraz któraś z dziewczynek zapytała:

— Zkąd ty wiesz, że on chciał co ukraść, może on jest dobry chłopiec?

— Zkąd wiem, to wiem — rzekł Adaś dumnie, jestem trębacz od tego, a ty żołnierzu nie wtrącaj się do nieswoich rzeczy. Już ja wam powiadam, że trzeba go ukarać.—Pomiędzy dziećmi zawrzało jak w ulu, chłopcy byli oburzeni na więźnia, dziewczynki próbowały go bronić, ale nadaremnie. Wkrótce zdecydował dowódzca że więźnia trzeba wybić, bo pewnie jest z nieprzyjacielskiego obozu. Jaś przez cały czas rozpraw milczał i z zadowoleniem przyglądał się zabawkom, niektórych nawet dotykał, ku wielkiemu oburzeniu dzieci. W ostatniej dopiero chwili, gdy była mowa o karze, podniósł zarumienioną od gniewu twarz, oczy znowu zabłysły mu zapalem i zawołał energicznie:

— OO! panicze! Co wy chcecie ze mną zrobić! Mnie nikt nie bije, a wy tembardziej do tego prawa nie macie.

— Widział to kto! — wołali chłopcy oburzeni śmiałością biedaka — on o jakichś prawach będzie mówił, on, ten włóczęga! — i czterech chłopców rzuciło się na Jasia, który stał opodal w obronnej postawie.

— Nie dam się wam — zawołał — to niesprawiedliwość, za co na mnie napadacie i to tylu na jednego — i Jaś zaczął się rozpaczliwie bronić, ale że był słaby i sam jeden, nie trwało to długo; chłopcy z tryumfem opanowali go zupełnie i już mieli wymierzyć przysądzoną samowolnie karę, już Gucio, zszedłszy z konia, podniósł bat nad plecami Jasia, a dziewczynki zaczęły płakać z przestachu i żalu, gdy wtem z pomiędzy nich surowy głos zabrzmiał groźnie:

— Stój, wstrzymaj się, Guciu, co ty robisz! co to się stało dzieci? — Ojciec Gucia stanął w pośrodku, rozsunął chłopców i podniósł z ziemi leżącego Janka.

— Co to jest? — powtórzył, a ściągnięte brwi i bruzda głęboka na czole świadczyły, że był mocno niezadowolony. — Co wam zrobił ten chłopiec?

Chłopcy milczeli, stojąc w około ze spuszczone mi oczyma. Pan X., nie rozumiejąc o co chodzi, nie wyrzekł jeszcze słowa nagany, a oni już się opamiętali, żywo w oczach stanęło im szkaradne ich postępowanie i straszny wstyd rumieńcem wystąpił na pochylone twarze. Żaden z nich słowa wymówić nie mógł, a gdy Pan X. niecierpliwie dalej żądał wytłómaczenia tego dziwnego zachowania się, Jaś, uwolniony od grożącego mu niebezpieczeństwa, pierwszy odzyskał przytomność:

— Ej to nic, proszę pana — rzekł, usprawiedliwiając swoich prześladowców. — Ci mali panicze i te małe panienki chcieli się tylko pobawić.

— Co? pobawić — powtórzył pan X. i surowo spojrzął po dzieciach. — Wy, kosztem cudzym chcieliście się pobawić, kosztem tego małego, biednego, sieroty może. O wstydźcie się szkaradne, złe dzieci, tegom się po was nie spodziewałem, i tu głos pana X. zdrzał z oburzenia. — Tak nie postępują ludzie dobrzy i honorowi — dodał — pastwić się nad bezbronnym, biedakiem jest nikczemnie.

Dzieci zdrzały, dziewczynki rozplakały się jeszcze głośniej, chłopcy zawstyżeni długo przyjsć do siebie nie mogli, ujrzeli oni nagle całą ohydę i niespra-

wiedliwość swego postępku, w głębi serc swych oskarżali się jeszcze bardziej i pogardzali sobą. Poczciwy Jaś chciał ich usprawiedliwiać, ale p. X. nie dał mu przyjsć do słowa, pocałował go w czoło i nie spojrzawszy nawet na dzieci, opuścił ich gromadkę.

Jakiś czas panowało milczenie. Jasiowi lzy stanęły w oczach: O jak mi przykro, że to przezemnie... lecz nie dokończył, bo raptem dzieci, wyrwane tym szlachetnym okrzykiem z ponurego zamyślenia, otoczyły go w koło, postanowiwszy przedtem jednomyślnie wynagrodzić krzywdę, jaką w chwili dziwnego zapomnienia się, chciały mu wyrządzić. Każde z nich, własnem kierowane natchnieniem, przyszło do Jasia i przeproszało go serdecznie, a potem wszyscy wypytywali się gdzie mieszka i co robi jego matka?

Dowiedziawszy się, że ojca niema, a matka jego ciężko pracuje na czworo drobnych dzieci, tak, że nietylko ślicznych zabawek, ale nawet chleba niema im nieraz za co kupić, dzieci postanowiły własnemi siłami przyjsć ję w pomoc, a Jasia, którego szlachetność i prawość z uwielbieniem oceniali, wziąć już całkiem pod swą opiekę, uczyć się od niego dobroci serca, a jego kształcić w mogących się przydać kiedyś dla utrzymania rodziny, pożytecznych przedmiotach. Postanowienie to pochwalili rodzice i dopomogli do spełnienia go, zajmując się losem nietylko Jasia lecz matki jego i rodzeństwa.

Anna Załęska.

CHŁOPCZYK I JABŁONKA.

Młoda jabłonka wiosną rozkwitała,
Wnet ją znudziły kwiateczki różowe...
„Ja chcę owoców!...” Gdy jesień nastąpiła
To ję się znowu liście marzą nowe.

Henryś, gdy lekcyi uczy się od mamy,
Woła że nudno... że on pisać woli,
Dali mu pióro... maże same plamy...
„Niechaj mi mama rysować pozwoli!...”

Jabłka na drzewku nigdy nie dojrzały,
Kwiatów swych nigdy rozwinąć nie umie,
Henryś tak zdolny gdy był jeszcze mały,
Został przy swoim dziecinnym rozumie.

Marya Leona.

LEGENDY.

O PTAKACH.

I.

Widzieliście kiedy zimorodka? Malutka to ptaszyna, pierś ma purpurowo-czerwoną, oczki wesołe a mądre, nie odlatuje od nas na zimę, budzi się najwcześniej ze wszystkich ptaków i śpiewa raniiej od skowronka, około południa milknie, a z wieczora zasypia tak późno że po nim odzywa się już tylko słowik... lub sowa. Nie płochliwy, garnący się do ludzi, zbliża się w zimie do mieszkań naszych i siadłszy nieopodal od chaty drwała

lub dworskiej zagrody, kręci zgrabnym łebkiem, zdaje się, ludziom przypatrywać i przyśpiewuje im dźwięcznie: „Dzień dobry, jak się macie? Błogosław Boże chacie! Oj, zimno, mróz na dworze, nic ptak znaleźć nie może... Wszędzie śniegi i lody, nigdzie niema jagody... Czy przyjmiecie ptaszynę? czy chleba okruszynę, mnie maleńkiemu dacie, wraz z miejscem w ciepłej chacie”. Tak śpiewa zimorodek, prosząc o ciepłe schronienie; nie prosi jednak o nie darmo, bo tym którzy go przyjmą w gościnę, płaci dźwięcznymi piosenkami.

Trzebaby też mieć bardzo twarde serce, aby odmówić gościnności takiej milutkiej ptaszynie, tak ogólnie lubionej, że w Anglii istnieje nawet przysłowie. „Kto skrzywdzi mysiego królika albo zimorodka, tego na lądzie ani na morzu pomyślność nie spotka”.

Krąży też o zimorodku podania malujące go w bardzo wdzięcznym świetle. Czy wiecie naprzykład, z kąd mu się wzięła na piersiach ta plama, szkarłatem w oczy bijąca? „Daleko ztąd — mówi podanie — daleko, za dziesiątą górą, za siódmą rzeką, jest otchłań pełna płomieni, gdzie jęczą dusze pokutujące. Litością zdjęte ptasze niewielkie, codzień wody im zanoszą kropelkę i ztąd znak ma na piersiach czerwony, że płomieniem jest upalony.”

Inne znowu podanie opowiada, jako: „Zimorodek, ptaszek ów maleńki, w dzień bolesnej Chrystusowej męki, widząc Pana w cierniowej koronie, wielką żalność poczuł w swoim łonie. Słabe ptaszę męce Chrystusowej czemże ulży? Cierń Mu wyjmie z głowy. To przysługa drobna, lecz jedyna, jaką Panu dać może ptaszyna. Więc z serduszkim litością wezbranem, krąży ptaszę nad cierpiącym Panem i w przelocie, raz wraz, miłosierdzie, drobnym dziobkiem uderza o ciernie, by się twarde ich kolce stępiły, by mniej cierpiał Zbawiciel nasz miły. Krąży ptaszę, pracuje jak może, aż mu kolec pierś do krwi rozporze, krwawa struga po piersi mu spłynie... A głos z góry powiada ptaszynie: „Żeś się męki ulitował Pana, więc nagroda ci w niebie przyznana: krwawym tobie naznaczę pierś wieńcem, dzieci wszystkich będziesz ulubieńcem”...

Inne znowu podanie twierdzi, iż zimorodek natrafwszy na niepogrzebione zwłoki ludzkie, póty nosi żdzibła trawy i mchy leśne, aż z nich mogiłę nad trupem usypie.

Miłosierdzie zimorodka sławi także bardzo rozpowszechniona w Anglii piosenka — *ballada* tam zwana „*Dzieci w lesie*” którą wam innym razem przytoczę.

P.

MOJE DZIECI.

OPOWIADANIE JEDNÉJ MAMY,

P. **A. DO.**

(Dalszy ciąg).

— No to chodźcie nalałam wam herbaty.

E, herbaty... ja wolę kakao! A kawy to niema dzisiaj?

— Oj nudziarze, nudziarzel! Co dzień to samo, zawsze wolą to, czego nie dostali.

— Cóż, grzeczne dzieci? — spytała mama wchodząc do jadalnego pokoju. — Czy Helenka mówiła pacierz? A Staś? A... oczy znowu czerwone jak u królika.

— Bo mi tak wszyscy dokuczają...

— Naturalnie, codzień ta sama piosenka, wstydział byś się być takim mazgajem. Ja słyszę z mego pokoju co robicie, choć nie jestem ciągle z wami, i wiem, że czy jest czy niema o co, to Staś zawsze płacze. Dziwię się że mu jeszcze łez wystarczy.

— Bo on bardzo dużo pije wody proszę mamy!

— Teraz kiedy już po pacierzu i po herbacie, możecie się razem bawić, tylko zapowiadam, bez kłótni i płaczu, wiecie jakie u mnie lekarstwo. Staś osobno tu, Helenka osobno u mnie, na półgodzinne rekolekcyje.

— Nie, nie! Niech się mama nie boi! — wołają razem dzieci. — My się będziemy wybornie bawić.

— Wiesz co Stasiu, w przedpokoju są wszystkie kanapy i fotele, bo to dziś sobota, Wojciech trzepie meble. Zanim je powynoszą na ganek, możemy sobie pyszny domek zbudować. Dach zrobimy z dużej maminiej chustki i będziemy sobie mieszkać jak rozbitki na bezludnej wyspie.

— Posiedzimy sobie chwilkę a potem co? — skrzykował Staś propozycyę siostry. — Ot lepiej wstawmy dwa fotele na kanapie, wydrapiemy się na nią i będzie okręt a my korsarze.

— A co to są korsarze?

— To są rozbójnicy morscy, czyli Hiszpanie.

— Dlaczego Hiszpanie?

— Bo widzisz, prawie wszyscy Hiszpanie są korsarzami, jest może kilku dobrych, a zresztą sami rozbójnicy.

— E, albo to prawda?

— Prawda — Jerzy mi o tych rozbójnikach opowiadał, bo on czytał w takiej książce zielonój ze złotem co to dostał od babci.

Połączonemi siłami dzieci budują okręt i z tryumfem zasiadają na wysokości.

— Ja będę kapitanem a ty moim pomocnikiem.

— I tak tylko we dwoje? To nikogo nie zwyciężymy.

— Poczekaj, ja przyniosę wszystkie moje lalki, to chociaż się nie będą ruszać, ale zawsze będzie więcej ludzi na okręcie, i tamci się nas nastraszają. O widzisz, trzy; dwie to będą majtkowie, a ta malutka to będzie chłopiec okrętowy. Aha jeszcze mam w szufladzie porcelanowego murzynka, to będzie kucharz, bo kucharze na okręcie są zawsze murzyni.

— No, to teraz bijmy się! Ale poczekaj, bo ci muszę wytłumaczyć: te wszystkie fotele i czerwona kanapa to będzie bogaty okręt kupiecki, który my napadniemy i zrabujemy.

Staś i Helenka z nieludzkim piskiem rzucają się na nieszczęśliwy okręt i zdobywają go po kilku minutach.

— Uf! Zmęczyłam się okropnie! Ale bronili się mężnie... gdyby nie nasza waleczna i dobrze uzbrojona załoga, kto wie coby było.

— Ach! i ja także ledwie żyję, zabiłam dwudziestu! A ty?

— A ja czterdziestu!

— Ej, wiesz co? lepiej się tak nie bawmy, bo może

się Bóg rozniewać, i nas kto potem pozabija. Bawmy się lepiej w co innego.

— Dobrze; ja będę dobrym królem, który bardzo lubi chłopów. Tak że go królem chłopków przewali, i ty będziesz niby to chłopem, a ja ciebie na obiad zaproszę: bo widzisz żeby tym możliwym panom pokazać, że wszyscy ludzie są równi.

— A dla czego ja mam być chłopem? Ja wolę być babą wiejską, a kiedyś ty król, to możesz mnie i tak na obiad zaprosić...

— Kiedy ja chcę być królem chłopów.

— To pewno tylko przezwisko, a ja chłopem nie będę.

— No, zresztą, bądź sobie babą.

Ustąpiwszy wspaniałomyślnie, (co mu się bardzo rzadko zdarza) Staś rozpoczął pompatycznie maszerować jak na monarchę przystało, Helenka zaś wzięła się do ubierania lalki, która w bitwie z korsarzami wiele ucierpiała. Po chwili król zbliżył się z godnością do stołu, pod którym jako w skromnej chatce siedziała uboga wieśniaczka i rzekł:

— Moja kochana kobiecino, możebyście przyszli do mnie na obiad! Właśnie kazałem kucharzowi upiec dwadzieścioro kurcząt; będzie zupa szparagowa i ryż ze śmietaną!

— Ach zaraz, zaraz niech wielmożny król trochę poczeka, muszę zawiązać suknię mojej córce i chałupę pozamiatać, boby mnie mąż wybił, No! no teraz już idę.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Pierwsza, miasto w Prusach,
Drugie, w alfabecie
Wszystko, w liczbie naszych miast znajdziecie.

REBUSIK.

igi igi igi igi dzi ie ie ie ie ie
igi lijny igi cho ie czór ie
igi igi igi igi fo ie ie ie ie

ROZWIĄZANIA DO N-ru 46-go.

Szarady:

K a r o l i n a.

ŁamigłóWKi kryształowój:

B
l a k
k a w o n
b a w e ł n a
h a ł a s
d n o
a

Skrzynka do listów.

Miłą nam była niezmiernie pamięć **Niezabudki Czeskiej**, a nie mniejszą przyjemność mieliśmy czytając opis jej zajęć codziennych. Niech Bóg dopomaga w pożytecznej pracy i staraniach około młodszego rodzeństwa. Kto tak czas sobie zapewnić umie nie znudzi się pewno w wiejskiem zaciszu. Z zajęciem czytać będziemy powiastkę i czekamy przesyłki od kochanej naszej staruszki. Gołąbka serdecznie przesyła pozdrowienie.

Tysiączne dzięki miłej **Brzydotce z nad Tamizy** za pamięć o ubogich dzieciach. Przyda się ona bardzo niejednemu biedactwu, z marek przysłanych na ten cel nie możemy tu zrobić użytku. Bardzo będziemy radzi jeźeli „Małgosia” powiększy liczbę naszych małych przyjaciółek w Londynie.

Życzeniu **Sarenki z nad Bałtyku** stało się zadość, rs. 3 przeznaczone przez nią na Zwierzyniec, którego istnienie nie jest jeszcze udecydowane, odesłaliśmy do Kurjera Warszawskiego.

M. Lub. Za posłany dodatek należy się kop. 30.

Janin. Dąbs. Sosenka ślicznie zrobiła, że siostrzyczkę swoją namówiła do napisania listu, ale dlaczegoż potrzeba było tak długo ją namawiać? Miała rację Sosenka twierdząc, że aby pozyskać naszą życzliwość, trzeba napisać „co serce podyktuje”, to też pozyskałaś ją serdecznem słówkiem, nowa a już nam miła korespondentko.

Nie wykreślamy nigdy z listy niczyjego imienia; dziwiło nas wszakże tak długie milczenie **Mazurki z nad Narwi**. Nie wiedzieliśmy, że tyle zmartwień rodzinnych było jego powodem. Chwała Bogu, że wszystko się już ku lepszemu przechyliło. Gołąbka wróciła, list jej z podróży zaledwie skończyliśmy drukować (spóźniwszy się z ogłoszeniem go) niedługo damy drugi. ŁamigłóWKę w swojej porze przejrzymy, uprzedzamy wszakże, iż tylko dobre umieszczamy. Liściki bierzemy pod opiekę.

Bluszczowi posłaliśmy wszystko, czego żąda, z przysłanych pieniędzy pozostało rs. 1 kop. 70, któremi według danego im przeznaczenia rozporządzimy.

An. Mont. Liścik chętnie wydrukujemy, gdy kolej nań przyjdzie.

Niezabudka z nad Chomoru nadesłała dobre rozwiązanie.

Jestem nową korespondentką „Wieczorów”, więc chciałabym z wami korespondować kochane siostrzyczki: Niezapominajko z nad Warty, Kulko Śniegowa i Prawdo! Podobałyście mi się bardzo, proszę napiszcie do mnie. Całuję was po tysiąc razy. *Szumiąca Woda.*

Kochana Różowa Jutrzenko. Pomimo że nie zgadłaś kto jestem, cieszę się żeś do mnie napisała, zapewne jesteśmy w jednym wieku, nazywam się Erna N., mam 10 lat i mieszkam na wsi. Donieś mi także coś o sobie. Wieczory bardzo mi się podobają szczególnie powieść „Szesnastoletni Wojewoda” a tobie? Twoja *Lilijka z nad Wisły.*

Drogie moje: Ukrainko na Mazowszu, Jesieni, Cyganecko i Iras! Jakże mi miło żeś się do mnie odezwała, sympatyczna Ukrainko! Od tak dawna spotykam twój pseudonym w „Wiecz. Rodz”. ztąd interesujesz mnie bardzo. Ja mam lat 17, siostry zaś moje o które pytasz, Topolka srebrna i Chmurka złocista, mają 15 i 11 lat. Iras, czemu mi nie odpisujesz? Czy nie nazywasz się czasem Am. Cz.? Jesieni kochana, nie wiem dotąd w jakich stronach kraju mieszkasz? Luba Cyganecko, dziękuję ci za łamigłóWKę i przyjmij szaradę w zamian. Ściskam was wszystkie, drogie siostrzyczki i przyjaciółki. *Sarenka z nad Mroczu.*

Kochane siostrzyczki! Chociaż już od trzech lat blisko czytuję Wieczory, żadna mnie jeszcze prawie nie obdarzyła liścikiem, z wyjątkiem Białej Różyczki i Dumki, za co im jestem wdzięczną. Postanowiłam teraz sama zapukać do waszych serduszek, może które do mnie żywiej uderzy. Lecz muszę się wam przedstawić: mam lat 14 na imię mi Aniela, mieszkam na wsi, uczę się w domu; z nauk najlepiej lubię muzykę, język francuzki i fizykę. Tobie Różyczko już odpisałam, lecz liścik dotąd nie drukowany. Niezapominajcie, o kochającej was *Horpynie.*